

ADAM MATUSIAK

nie
zabijaj
nas
tato



Adam Matusiak

Nie zabijaj nas tato

© Copyright by Adam Matusiak

Projekt okładki: Michał Kozakiewicz

ISBN 978-83-941446-0-9

W tekście wykorzystano fragmenty utworów:

PEARL JAM:

- Garden
- Crazy Mary
- Black
- Yellow Ledbetter

ALICE IN CHAINS:

- Would

THREE FISH:

- Hummingbird

Wydawca: self-publishing

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2015

Zwłoki huśtają się niemrawo na długiej linie. To wiatr nimi porusza, choć wiatruje raczej umiarkowanie. A w nich, cóż, w nich samych nie ma już ruchu. Krew w nich wystygła. Pętla sznura niknie pomiędzy zwisającą bezwładnie głową, a torsem mężczyzny. Bo to jest, a właściwie był mężczyzna. Ma na sobie eleganckie szare spodnie, skórzane półbuty, białą koszulę i granatową marynarkę. Nie widzimy jego twarzy. Jest skierowana ku ziemi, jakby kłaniał się nam po udanym, rześście oklaskiwanym przedstawieniu. Bravo! Bravo! Fryzura mężczyzny jest starannie utrzymana, połyskująca żelam, sztywna. Widać na niej krople wody, deszczowało nie tak dawno.

To mógłby być ktoś z tak zwaną klasą, może nawet rzeczywiście był, a może tylko takiego udawał; wygląda na udawacza, fałszerza uczuć. Cóż, pewnie z czasem się tego dowiemy. Po to tu w końcu jesteśmy, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o nim. Prześledzić jego życie wstecz; od tego straszliwego momentu, kiedy to zdecydował się skoczyć z gałęzi, która teraz utrzymuje jego sztywne ciało, aż do pewnej chwili w jego życiu, mogącej być, nie możemy mieć co do tego pewności – ale być może się dowiemy – początkiem końca.

Jest z nami syn mężczyzny. On nas tu ściągnął. Uznał, że musi poznać prawdę. Chce ją poznać od razu. Czeka-
nie nie jest jego mocną stroną.

Kładę rękę na ramieniu syna i przez chwilę stoimy w milczeniu, przypatrując się temu smutnemu widokowi. To jest smutny widok, obaj tak uważamy. Patrzymy w milczeniu i jednocześnie w ogromnym napięciu. Obaj jesteśmy smutni. Z różnych powodów. On, bo kochał wisielca, ja – bo to ja sam nim jestem.

Mój smutek nie jest czymś rzeczywistym, trudno go zdefiniować jako uczucie, bowiem w zasadzie w tej chwili jestem wolny od uczuć. Czym więc jest ten smutek? Myślą, instynktem, resztką ze stołu zakończonego życia. A może to wyobraźnia?

– Dlaczego to zrobiłeś, tato? – Łzawi oczami, kochany chłopak, choć nie chce tego pokazywać. Wstydzi się. Jego drobne ciało przechodzi mocny dreszcz.

– To długa historia. Trudna.

– Zbyt trudna dla mnie? – Pyta złamanym głosem

– Myślałem o sobie – odpowiadam szybko.

Za szybko. Znowu pomyślałem o sobie, jak zawsze. Muszę coś dodać, wiem o tym.

– Ale... Tak, to całkiem możliwe, ona i dla ciebie będzie zbyt trudna.

Kiwa głową. Chyłkiem wyciera łzę.

Ja rozumiem, dlaczego tu się znalazłem. Nie chcę tego, ale rozumiem. Kazano mi, coś mi rozkazało, wytłumaczyć własnemu synowi, z jakiego powodu to zrobiłem. Rozumiem, że trzeba to wytłumaczyć, on powinien wiedzieć. Rozumiem to patrząc z mojego punktu widzenia i w zasadzie zgadzam się, co jest nieco dziwne, jeżeli weźmie się pod uwagę, że za życia w zasadzie z niczym nie chciałem się pogodzić, ani z nikim zgodzić.

Ale ważniejszy jest on.

Z jego punktu widzenia na pewno wszystko wygląda zupełnie inaczej. Boję się go zapytać, czy ma ochotę przez to wszystko przebrnąć akurat teraz, kiedy jest jeszcze młody, wielu rzeczy może nie zrozumieć, zbyt wiele pamięta.

Jego punkt widzenia.

Kiedyś niewiele zważałem na jego punkt widzenia.

Kiedyś.

Jakże źle wspominam to – kiedyś. Ze względu na niego, przede wszystkim. On potrzebował mnie, potrzebował zainteresowania jego sprawami, potrzebował się wygadać. A ja nie umiałem go wysłuchać, uciekając najczęściej w głąb swego szaleństwa i potrafiąc pozostać tam na długi czas. Jestem trochę zły na siłę kładącą mi teraz przez to wszystko przechodzić. Po co teraz? Dlaczego on nie może się wszystkiego dowiedzieć z listu, jaki dla niego zostawiłem? Tam jest wszystko, cała, najszczer-

sza prawda. To długi list, najdłuższy jaki kiedykolwiek napisałem, ma ponad dwadzieścia stron. Nawet do żony nie pisałem tak długich listów, to znaczy kiedy jeszcze nie była żoną, kiedy dużo słów chciało się do niej mówić i pisać. List do syna pisałem ponad trzy tygodnie, bez pośpiechu, dobrze ważąc słowa, długo szukając odpowiedniego rytmu i stylu, na pewno niczego nie przemilczałem. To powinno wystarczyć, ale zdecydowano inaczej. Tylko nie wiem kto, ani dlaczego. Wyobraźnia?

Jest też list pożegnalny do żony, dużo krótszy, lakoniczny, zawiera mnóstwo skrótów i uproszczeń. Nie potrafiłem napisać tak szczerze, jak do syna. Ale i tak lepsze to, niżbym miał jej powiedzieć, powiadomić o swoich zamiarach.

Nie potrafię za dużo gadać, trudno mi doszukać się w zbyt długim gadaniu jakiejś podniety. Zawsze tak było. To dlatego teraz czuję się bardzo niepewnie. To jest uczucie podobne do tego, jakie mnie ogarnęło tuż przed skokiem z gałęzi. Ten sam stan niepewności i strachu. Nigdy nie spodziewałem się, iż będę potrafił odebrać sobie życie, choć często o tym myślałem, bardzo często. Tak często, że właściwie stała się ta myśl zachętą do, o ironio, dalszego życia. Ale nie na długo, jak się okazało. Czas nie wyleczył ran, czas tylko przynosił coraz to nowe rozczarowania.

Nowe rozczarowania, nowe zachęty ku ostatecznemu działaniu.

Nareszcie się zdecydowałem, a właściwie to nie tak,

chodzi o to, że nie potrafiłem odmówić własnemu wewnętrznemu głosowi, ten głos jest ponad wszystko, to wyrocznia.

Może nigdy nie byłem tchórzem, lecz zawsze bałem się śmierci, najbardziej zaś samego momentu umierania, tej chwili, kiedy człowiek zaczyna być świadomy nadchodzącego końca. Zapewne jest tak ze wszystkimi ludźmi, musi tak być. Pod tym względem jesteśmy wszyscy tacy sami.

Tak, jest mi trudno wyobrazić sobie, jakim to sposobem będę synowi opowiadał o swoim życiu, o wydarzeniach i uczuciach, których miałem już tak dosyć, że aż postanowiłem przestać być pod jego ręką właśnie teraz, kiedy mnie najbardziej potrzebuje. Ja będę opowiadał, ja – milczek.

– Poczekaś na mamę? – Mój syn patrzy mi w oczy.

– Jej tu nie będzie.

– Mylisz się – mówi z przekonaniem.

– Nie mylę.

Tak naprawdę to nie mam pojęcia czy jej tu nie będzie, czy może już tu jest, ale nie chce się jeszcze ujawniać. Może woli słuchać z boku. Nie wiem też, czy chciałbym jej obecności. Jej obecność często bywała dla mnie ciężarem, nie potrafiłem go unieść, sił nie starczało. A przecież chciałem dobrze, próbowałem, wmawiając sobie, że następnego dnia zrobię co trzeba, zmuszę się, żeby z nią porozmawiać, wziąć za rękę i poprowadzić na

spacer, pocałować. Jutro to zrobię, jutro, jutro.

Nie zrobiłem, nigdy. Nie wiem dlaczego. Nic nie wiem.

A najbardziej nie wiem tego, dlaczego w ogóle dzieje się to, co się dzieje, cokolwiek to jest, jakkolwiek to nazwać. Niewiedza to okropny przeciwnik.

Moje ciało, wciąż wiatrowane, kiwa się powoli. A ja stoję tu, z synem u boku. Wiem co muszę zrobić, dostałem znak przyzwolenia. Rozglądam się wokół, ale nic nie widać, wszędzie zalega mgła, tylko wisielec jest wyraźny.

– Zaczynij już, tato.

– Kiedy stałem na gałęzi, starałem się nie myśleć. Przyszło mi to łatwo, zawsze potrafiłem nie myśleć. Wystarczy wyłączyć ciekawość świata. Kiedy nic cię nie cieszy, ciekawość świata nie istnieje. Byłem wyprany z emocji, jak kamień. Poza tym wypilem trochę, nie za dużo, ot, butelkę wina. Po butelce wina zawsze wszystko wydawało się prostsze, a ja zawsze uważałem, że życie powinno być prostsze. Trudność życia powodowała u mnie straszne stany. Nie zawsze pomagała na nie butelka wina. Nieraz trzeba było iść po jeszcze jedną.

– Chciałeś zawrócić, nie skoczyć?

– Ani przez chwilę.

– Nawet przez wzgląd na nas, mnie i mamę?

– W takim stanie, w jakim ja się wtedy znajdowałem,

nie możesz myśleć o nikim innym, tylko o sobie. Nic się liczy. Poczekał...

Nagle coś poczułem. Zmienia się perspektywa. Już nie stoję z synem. Teraz wiszę nad ziemią. Widzę syna. Stoi nieopodal, ja stoję obok niego. Obie postacie mają twarze skierowane w moją stronę. Są zbyt daleko, żeby można było coś w tych twarzach wyczytać. Po prostu stoją i patrzą.

Wiem, że wiszę na gałęzi, a moją szyję ściska sznur. Nie czuję bólu. Tamten rozdział jest już zamknięty, stało się, pętla zacisnęła się na mojej szyi, popękały kręgi, już bolało, już umarłem. Teraz jestem tu z innego powodu. Mam do spełnienia nieprzyjemny obowiązek. Będę widział wstecz i tłumaczył się z powziętych decyzji. Takie zadanie.

Nagle wzlatuję do góry, prędko, aż mi oddechu brakuje. Już stoję na gałęzi, znowu żyję, a z ziemi wzlatuje pet i ląduje między moimi palcami, za chwilę wokół mej głowy rodzi się dym, by zaraz zniknąć w moich ustach.

Teraz znowu stoję obok syna. Pokazuje w stronę stojącego na gałęzi mężczyzny, który pali papierosa.

– Zapaliłeś sobie przed skokiem, całkiem jak więzień przed wykonaniem wyroku śmierci.

Trafił sedno, nie ma co, a przecież ma dopiero trzynaście lat. Ale on nie zdaje sobie sprawy, że naprawdę byłem więźniem. Więźniem własnych lęków, swojego własnego nie przekonania o sensie istnienia, sensie czynienia

czegokolwiek, więzieniem, tak, ale zarazem sędzią i katem, facetem o ponurej minie, który sam wydał na siebie wyrok i sam go na sobie wykonał. Zdawałem sobie sprawę, że zdążyłem z tym na czas, bo inaczej mógłbym zrobić coś strasznego, skrzywdzić kogoś jeszcze. I wtedy ktoś inny wydawałby i wykonywał wyrok, a tego nie chciałem. Czasami myślałem, że zabiję. Tak, było aż tak źle. Ale do tego jeszcze wrócę, nie chcę mu teraz o tym mówić.

– A ty, czy już próbowałeś palić? – pytam.

– Nie będę palił.

Zawsze to powtarza, odkąd tylko zaczął co nieco z tego świata rozumieć. Może mu się uda, nie wiem. Jedno jest pewne, ja mu nie pomogę.

Patrzymy w stronę gałęzi. Stoję tam i palę. Mija dużo czasu. Jeszcze trzy papierosy unoszą się z ziemi i ich dym znika w moim wnętrzu. Mój syn kiwa głową, chyba ma ochotę jakoś to skomentować, lecz nic nie mówi. Czeka. Ja też czekam. Zastanawiam się, jakim to sposobem wylazłem na tak wysoką gałąź, i to po butelce wina. Nigdy przecież nie byłem wysportowany, nawet nie wspinałem się na drzewa w dzieciństwie. Jakoś nie było okazji. Woląłem robić inne rzeczy, być z dala od ludzi. A przecież nie byłem taki od zawsze. Dopiero od tamtego dnia. Dobrze pamiętam. I chociaż nigdy nikomu o tym nie mówiłem, to teraz chyba nie będę miał innego wyjścia. Cholera jasna, trafiła mi się przyjemność. Nie dosyć parszywego życia, to jeszcze jakieś głupoty

teraz. Po jaką cholere pisałem list, tam wszystko jest.

Robi się coraz ciemniej, co oznacza, że zrobiłem to o poranku. W zasadzie nie ma się co dziwić, przez ostatnie lata życia wołałem poranki od wieczorów, całkiem odwrotnie niż za młodu. Zresztą wiele różnic mógłbym wskazać pomiędzy moimi młodzieńczymi zapatrywaniami, a tymi poprzedzającymi samobójczą śmierć. I do tego pewnie jeszcze wrócę.

Mam nadzieję, że oszczędzono mi przypominania sobie naprawdę wszystkiego, że nie muszę stać przed moim synem piorąc wszelkie wspomnienia, starając się przypominać sobie każdą myśl. Po co? Wystarczy kilka najważniejszych faktów, garść zdarzeń mających największy wpływ na losy mojego umysłu. Niby będę miał wszystko przed oczyma, niby razem będziemy oglądać moje życie, od teraz do samego urodzenia, to jednak nie bardzo chcę żeby to było za bardzo szczegółowe, żeby nie trzeba było dotykać na przykład tych kilku momentów dobrych, szczęśliwych. Wyjątki się nie liczą, ważna jest tylko cała reszta, to ona kształtuje, ona, nie wyjątki. Jeżeli nie nastąpi nic nieoczekiwanego postaram się o szczęśliwych momentach życia nie mówić, bo nie są ważne, bo ich istnienie i tak nic nie pomogło w ostatecznym rachunku. Były niczym żyjące jeden dzień motyle, może i piękne, dodające kolorytu, ale nieważne ostatecznie. Może na tym to polega? Żebym pokazał tylko złe rzeczy, najgorsze, wyrzucić ze swego wnętrza największe gówna, odpowiedzieć na wszelkie niewygodne pytania

z tym związane, żeby on potrafił chociaż w połowie zrozumieć, z jakiego powodu jego ojciec skoczył z gałęzi, zawiązując sobie uprzednio linę na szyi.

Nie wiem, nic nie wiem. Jestem tak samo zagubiony jak on. Przynajmniej uważam, że jest zagubiony, musi takim być, mając świadomość samobójczego zejścia swego ojca.

– Patrz! – krzyczy, łapiąc moją rękę.

Nie czuję tego dotyku. Widzę go tylko kątem oka.

Krzyk wydobył się z jego ust na widok mnie zdejmującego linę z szyi, robiącego to niezdarnie, może nawet trzęsącymi się dłońmi. Niepodobna tego ocenić z tej odległości.

– Podejdźmy bliżej, tato.

Podchodzimy całkiem blisko, pod samo drzewo.

– Popatrz, ty płaczesz.

Rzeczywiście. Ja na drzewie cofam się bardzo powoli w stronę pnia drzewa i płaczę. Zanoszę się dosłownie. Próbuję sobie przypomnieć co wtedy czułem, ale nie bardzo to idzie. Zastanawiam się, ile czasu minęło od tamtej chwili, nie wiem tego. Nie potrafię też odgadnąć. Co mogłem czuć? Myślę, że żal. To dlatego te łzy. Z jednej strony musiałem odczuwać podniecenie, radość, że nareszcie skończą się moje męki, to życie było przecież tylko męką. Z drugiej zaś strony, mimo wszystko, musiałem także odczuwać żal, bo nie potrafiłem przewy-

ciężyc słabości, bo zostawiałem syna, zostawiałem żonę, z którą, z niewyjaśnionych powodów nie potrafiłem za nic w świecie się dogadać, chociaż wciąż sobie powtarzałem – jutro, jutro... I patrzyłem na nią, ukradkiem, żeby nie mogła tego zauważyć, niczym szpieg albo podglądacz bezwstydnym, patrzyłem, zastanawiając się, dlaczego ona i ja nie możemy znaleźć nici porozumienia, która przecież przez jakiś czas wisiała nad naszymi głowami. Zdezorientowany patrzę i dumam, szukam, co i gdzie się popieprzyło.

Mówię o tym synowi.

Milczy. Pewnie zastanawia się nad tym, co przed chwilą usłyszał, może próbuje te słowa zestawić z jakimiś swoimi obserwacjami. Wiadomo, że dzieci są dobrymi obserwatorami, potrafią wyciągać wnioski, chociaż może są owe wnioski jeszcze surowe i nie do końca ukształtowane, co nie znaczy, iż można je lekceważyć.

Zostawiam go tak i wnikam w ciało na drzewie. Tym razem zrobiłem to z własnej woli, co dosyć mnie ucieszyło, bo zdałem sobie sprawę z pozostawienia mi własnego zdania odnośnie perspektywy z której akurat mam ochotę prowadzić całą sprawę. Mogę wyskoczyć na chwilę do tamtego ciała, zobaczyć co i jak, przypominać sobie, by wrócić z bagażem świeżych informacji. Zawsze potrzebowałem wszystko robić po swojemu, toteż to odkrycie wprowadza mnie w dobry nastrój.

Cofam się pod sam pień. Okazuje się, że nie myliłem się do uczuć mną wstrząsających, co do powodu płaczu.